

Czy lewica powinna popierać euro?

27 października 2018

Lewica ma problem z euro. Nie jest w stanie się jednoznacznie określić, czy je popiera, czy jednak nie. Nic dziwnego – stosunek do wspólnej europejskiej waluty to jeden z największych dylemat, przed jakimi stoi polska lewica.

Euro jednoznacznie kojarzy się z integracją europejską, która ma wiele niekwestionowanych zalet. Przede wszystkim wiąże nas z regionem, w którym standardy socjalne są na najwyższym poziomie na świecie. Oczywiście można mnóstwo zarzucić systemom gospodarczym krajów UE, które od lat 1990. systematycznie się liberalizowały, a proces ten dosięgnął nawet krajów nordyckich. Nie zmienia to faktu, że właśnie w krajach Europy panują relatywnie najbardziej sprawiedliwe porządki ekonomiczno-społeczne. Nie we wszystkich rzecz jasna, jednak jeśli chcielibyśmy szukać prymusów standardów socjalnych i egalitaryzmu, to znaleźlibyśmy je właśnie w Europie. Jest kilka innych regionów świata równie zamożnych, co Europa, jednak ich systemy socjalne są już dużo gorsze. W USA panują niewyobrażalne wręcz nierówności, a wiele stanów pogrążonych jest w patologiach społecznych. W Korei Południowej oraz Japonii nierówności są niższe, jednak w krajach tych ludzie poświęcają się pracy do tego stopnia, że członkowie rodzin ledwo się znają. Jeśli dla wielu Europejczyków Kanada wydaje się również przyjemnym miejscem do życia, to właśnie dlatego, że jest najbardziej podobna do Europy.

Jednak fakt, że euro kojarzy się z integracją europejską, to trochę za mało, żeby lewica miała popierać wspólną walutę. Aby to robić, musiałaby sobie odpowiedzieć na trzy kluczowe pytania. Czy euro rzeczywiście tej integracji pomaga, czy może wręcz przeciwnie? Czy euro wzmacnia europejskie systemy

socjalne, czy jednak je osłabia? Dodatkowo, dla lewicy w naszym regionie Europy ważna jest jeszcze jedna kwestia: czy euro pomaga krajom Europy Środkowo-Wschodniej w konwergencji (czyli doganianiu w poziomie rozwoju najzamożniejszych krajów UE), czy ten proces spowalnia? We wszystkich tych obszarach euro wypada... niekorzystnie z lewicowego punktu widzenia.

Generator eurosceptycyzmu

Obecnie nie budzi już większych wątpliwości, że kraje południa Europy wpadły w tak wielkie tarapaty gospodarcze podczas ostatniego kryzysu właśnie dlatego, że przyjęły wspólną walutę. Można dyskutować, na ile to była wina samej konstrukcji strefy euro, a na ile modeli ich gospodarek. Jest jednak pewne, że gdyby nie przyjęły euro, wpadłyby w bez porównania mniejsze perturbacje gospodarcze. Kurs ich walut by spadł, dzięki czemu stałyby się bardziej konkurencyjne, więc ich gospodarki w miarę szybko dostosowałyby się do nowych warunków. Pozbawione tego mechanizmu wpadły w długotrwałą recesję, która przybrała gigantyczne rozmiary. Grecja w 2006 r. była krajem z PKB per capita według parytetu siły nabywczej na poziomie 96 proc. średniej UE. Obecnie jej poziom rozwoju to 67 proc. średniej UE, a więc spadła nawet za Polskę i Węgry, do poziomu Łotwy. Hiszpania spadła z poziomu 103 proc. średniej UE do 92 proc., Włochy ze 108 proc. do 96 proc., a Cypr ze 105 proc. do 84 proc.

Nieprzypadkowo właśnie te kraje należą obecnie do najbardziej eurosceptycznych. Coraz większy sprzeciw wobec obecnego kształtu UE wzbiera wcale nie w Polsce czy na Węgrzech, ale właśnie tam, gdzie uderzył kryzys strefy euro. Według Eurobarometru 2018 przeciętnie w UE 60 proc. ankietowanych dobrze oceniało członkostwo swojego kraju w UE, a 12 proc. źle. W Grecji pozytywnych odpowiedzi było już tylko 45 proc., za to negatywnych 21 proc. We Włoszech odpowiedzi pozytywnych było jedynie 39 proc., a negatywnych 17 proc. Tylko 52 proc. Cypryjczyków pozytywnie ocenia członkostwo Cypru w UE, a

negatywnie 13 proc. Tymczasem w Polsce pozytywnych odpowiedzi było aż 70 proc., a negatywnych... 5 proc. Nawet na Węgrzech pozytywnie członkostwo w UE ocenia 61 proc. pytanym, a więc nieco więcej niż średnia. Bardzo pozytywnie o UE wypowiadają się za to kraje skandynawskie, które nie należą do strefy euro. Integrację UE dobrze ocenia 68 proc. Szwedów i aż 76 proc. Duńczyków – to rekord.

Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że euro jest jedyną przyczyną eurosceptycyzmu. W końcu w czołówce najbardziej eurosceptycznych państw są też Czechy i Chorwacja, które w strefie euro nie są. Bez wątpienia jednak za eurosceptycyzm na południu Europy oraz w coraz bardziej eurosceptycznej Francji odpowiada w pierwszej kolejności wspólna waluta i jej negatywne skutki dla systemów ekonomiczno-społecznych. We Włoszech władzę przejęła koalicja, która z krytyki euro i postulatów opuszczenia strefy stworzyła fundament swojego przekazu (szczególnie tyczy się to Ligi). We Francji według sondażu „Le Figaro” Front Narodowy zdobyłby 21 proc. głosów do PE – prawie tyle, co wciąż jeszcze pierwszy En Marche Macrona (21,5 proc.). Grecja już dawno opuściłaby euro, gdyby nie to, że w obecnej sytuacji takie jednostronne wyjście mogłoby ją wpędzić w jeszcze większe tarapaty – kurs nowej drachmy byłby żałośnie niski, tymczasem zadłużona jest w euro. Euro nie jest więc jedyną przyczyną eurosceptycyzmu, ale jest jedną z głównych przyczyn. Hamuje procesy integracyjne, a nie je wzmacnia.

Wróg ambitnej polityki społecznej

Z lewicowego punktu widzenia najważniejsza powinna być jednak odpowiedź na pytanie, czy istnienie euro ułatwia prowadzenie ambitnej polityki społecznej, czy wręcz przeciwnie. W sytuacji walut narodowych i ich płynnych kursów, politycy mają większe pole działania. Mogą prowadzić aktywną i szeroko zakrojoną politykę społeczną, gdyż wiedzą, że w razie kłopotów gospodarczych stabilizatorem będzie kurs waluty. On spadnie,

co spowoduje wzrost konkurencyjności eksportu i sytuacja wróci do normy. Wspólna waluta nie tylko ogranicza im pole działania, ale w krajach o słabszych gospodarkach, które nie mają zaawansowanych produktów, wręcz wymusza ograniczanie świadczeń socjalnych. Świadczenia socjalne finansowane są ze składek i podatków – im one wyższe, tym wyższe koszty pracy, a więc niższa konkurencyjność. Kraje nie mające tak rozchwytywanych za granicą produktów, jak Niemcy, muszą sobie radzić dbając o konkurencyjność kosztową. Jest ona tym ważniejsza, że po przyjęciu wspólnej waluty ich kurs walutowy został sztucznie podniesiony – w końcu to waluta także silnych Niemiec i Holandii. Wspólna waluta tworzy więc nacisk na zwiększanie konkurencyjności bezpośrednio przez obniżanie kosztów, a pośrednio przez obniżanie świadczeń socjalnych. W innym przypadku kraj jest skazany na stagnację. Można oczekiwać, że gospodarka się zmodernizuje i sama będzie tak silna jak niemiecka, ale na to można czekać dekady. A koszty społeczne powstają tu i teraz.

Nic więc dziwnego, że spośród krajów nordyckich, które mają najbardziej rozbudowane systemy zabezpieczenia społecznego, a co za tym idzie podatki, tylko Finlandia weszła do strefy euro. Szwecja i Dania, choć mają bardzo konkurencyjne gospodarki, wolą nie pozbawiać się bezpiecznika, jakim jest płynny kurs walutowy. Gdyby się go pozbawiły, w razie recesji jedynym wyjściem byłaby dewaluacja wewnętrzna, a więc demontaż ich systemów socjalnych. I jak na razie wychodzą na tym dużo lepiej. Finlandia utrzymała swój szczodry system zabezpieczenia społecznego oraz bogatych usług publicznych. Wydatki budżetowe są w Finlandii drugie najwyższe w UE – wynoszą 56 proc. PKB (średnia unijna to 46,3 proc.). Jednak skazała się w ten sposób na stagnację. W 2008 roku jej poziom rozwoju wynosił 121 proc. średniej UE. Obecnie już tylko 109 proc. W Szwecji poziom rozwoju w odniesieniu do średniej UE spadł w tym czasie tylko nieznacznie – ze 127 proc. do 122 proc., co wynika po prostu z procesów konwergencji. Poziom rozwoju Danii się nie zmienił – wciąż wynosi 125 proc.

średniej UE.

Jedynym krajem w UE, który ma wyższe wydatki publiczne niż Finlandia, jest Francja (56,4 proc. PKB). Także ona obecnie jest w stagnacji. Prezydent Emmanuel Macron chce to zmienić poprzez pakiet reform. Na czym one polegają? Oczywiście na deregulacji rynku pracy oraz zniesieniu niektórych zdobyczy socjalnych. Wzbudza to zrozumiały sprzeciw Francuzów, ale czy można się dziwić takim planom prezydenta Francji? W warunkach wspólnej waluty nie ma innej recepty na odzyskanie konkurencyjności, niż dewaluacja wewnętrzna. Jeśli Francuzi chcą wyrwać się ze stagnacji, muszą przynajmniej upodobnić swoją gospodarkę do Niemiec. Czyli zrezygnować z własnego, dużo bardziej etatystycznego i socjalnego modelu.

Hamulec konwergencji

Jest też sporo dowodów na to, że przyjęcie wspólnej waluty wyhamowuje proces konwergencji. Kraje naszego regionu, które stoją na niższym poziomie rozwoju niż zachodnia UE, mają niedoszacowane waluty. Ich realne PKB per capita, czyli z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej, jest zdecydowanie wyższe, niż PKB per capita przeliczone na euro po kursie rynkowym. To im pomaga, gdyż uatrakcyjnia ich eksport, który staje się dla zagranicznych nabywców tańszy. Dzięki temu mogą generować wyższy wzrost i szybciej doganiać bogatsze kraje. Gdy zbliżą się do poziomu średniego w UE, będą mogły zadziałać w kierunku aprecjacji własnej waluty – np. poprzez podniesienie stóp procentowych. To spowolni wzrost, ale dzięki temu ich obywatele dostaną do ręki droższą walutę, a więc będą mogli sobie pozwolić na większe zakupy zagraniczne – czy w to kraju (import), czy podczas podróży turystycznych. Konwergencja się dokona, a więc szybki wzrost nie będzie już tak istotny. Jednak kraje regionu, które już teraz przyjmują wspólną walutę, wychodzą przed szereg i de facto doprowadzają do aprecjacji własnej waluty zanim dokona się jeszcze konwergencja. Dostają więc do ręki twardą walutę, lecz

utrudniają sobie dogonienie krajów zamożnych. Dzieje się tak, ponieważ pozbawiają się wobec nich przewagi niskiego kursu waluty – przyjmując tę samą walutę, co one.

Doskonale widać to na przykładzie Słowacji i Słowenii. W obu przypadkach przyjęcie euro po pierwszym roku doprowadziło do wzrostu PKB per capita na tle średniej unijnej – to efekt samego przyjęcia dużo droższej waluty. Jednak potem następowała stagnacja konwergencji. Słowacja przyjęła euro w 2009 roku. W 2010 r. jej PKB per capita skoczył z poziomu 71 proc. średniej unijnej w 2009 r. do 74 proc. Potem do roku 2013 konwergencja następowała w wolnym tempie 1 pkt. proc. rocznie, czyli do poziomu 77 proc. Jednak od 2013 r. Słowacja przestała już zupełnie doganiać średnią unijną. W 2017 r. wciąż jest na poziomie 77 proc. Słowenia przyjęła euro w 2007 r., będąc na poziomie rozwoju 87 proc. średniej unijnej. Dzięki przyjęciu euro ten poziom skoczył do 90 proc. rok później, jednak w 2009 roku Słowenia wpadła w recesję i spadła do poziomu 85 proc. W 2017 roku jej poziom rozwoju również wynosił 85 proc. średniej unijnej. Jak wygląda na tym tle Polska? W 2009 r. byliśmy na poziomie zaledwie 59 proc. średniej UE, jednak w 2017 r. już 70 proc., czyli nadrobiliśmy 11 pkt. proc., a Słowacja jedynie 6. W okresie 2009-2017 Polska konwergencja następowała więc prawie dwukrotnie szybciej niż słowacka.

Można oczywiście twierdzić, że było warto. Słowacy dostali do ręki twardą walutę, a więc stali się zamożniejsi. Jednak ich zamożność pozostaje głównie na papierze – ewentualnie widać ją, gdy wyjadą za granicę. Wtedy rzeczywiście są nieco zamożniejsi niż Polacy. Jednak w kraju tego nie odczuwają, z tego względu, że oprócz zarobków równolegle wzrosły też ceny. Wiele osób z południa Polski pamięta czasy, gdy na Słowację jeździło się po tańsze zakupy. Obecnie poziom cen na Słowacji wynosi 69 proc. średnich cen unijnych, a Polski 56 proc. Godzinowy koszt pracy na Słowacji to 11,1 euro, a w Polsce 9,4 euro. Rzeczywiście, Słowak zarabia więcej. Jednak jeśli to

przeliczymy przez poziom cen, czyli nałożymy parytet siły nabywczej, to godzinowy koszt pracy Słowaka to równowartość 16 euro, a Polaka 17 euro. Realnie zarabiamy zatem więcej, choć nasz poziom rozwoju na tle średniej UE jest o 7 pkt. proc. niższy.

Wnioski

Wspólna waluta jest zawałidrogą wobec wartości, które są ważne dla lewicy. Na pewno nie sprzyja integracji krajów kontynentu, a są dowody na to, że ją utrudnia, generując eurosceptycyzm w części krajów strefy. Bez wątpienia utrudnia też prowadzenie ambitnej polityki społecznej, szczególnie w państwach ze słabszymi gospodarkami. Dodatkowo są przesłanki, by twierdzić, że spowalnia proces konwergencji. Jest wiele obszarów integracji, które należy popchnąć naprzód – chociażby wspólna polityka bezpieczeństwa. Lewica mogłaby też postulować wprowadzenie wspólnych standardów socjalnych, które byłyby ustalane dla każdego kraju przy użyciu tych samych wskaźników w odniesieniu do poziomu rozwoju lub średniej płacy. Popieranie przez lewicę ekspansji strefy euro jest kręceniem na siebie bata.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl